

O Bogu, Diabie i dwóch braciach

A działo się to jeszcze przed Wielką Wojną, we wtorek po śniadaniu: w Lipach Od-pust ksiuudz wyprawili i tyła ludzi się nazłaziło, że jaż Ważka oćca swego za rękę mocnij ścisnął. A tak go chycił, że mu ta ręka zsiniała, a po latach odpadła. Ociec zdołał nią wtedy jeno pomachać i pożegnał się z tem światem. A gdy umirał, to się dziwił, chocia to żadna nowina, że syn oćca do grobu wpędza. Raz się jeno zdarzyło odwrot-nie, że ociec syna załatwił, ale to w rodzinie boskij, a tam to wszystko inaczej. I tako ta sobie chodził Ważka z gębu rozdziawioną i patrzył na te cuda, brata swojego ciągnąc za rękaw.

Bo tam i Cygany zjeżdżały kolorowe, co to w tamburyna waliły, językiem takim dziwnym gadały, że to chyba same siebi nie rozumiały. Jeden taki niedźwiedzia do kołka uwiązał, a potem przygrywał mu na harmonijce. Misiak skakał i tańcował, dopóki się ni zaplątał we własne nogi, upadł i pedział, że więcej dziś fikać nie będzie. A było tyż jędz brodatych multum całe, co to ludzi łapały za dłonie, a przyszłość z nich czytały świetlaną. I wszystko to za darmo, bo Cyganki same sobie z kieszeni nieostrożnych klientów wyciągały, ile chciały. A dzieci takie czarne, garbate biegały, zaczepiały i „na chleba, na mleka” ciutały, a odczepić się nie chciały.

Te Żydycy tułaczę też się nazjeżdżały wozami, pejsa kręcili i nuże w handel, w geszefty, w negocjacje. Pośród nich jeden taki był Srulek Sroka, kótren to chałki i bajgle rozno-sił, a jak go kto zaczepił, to i bajkę żydowską sprzedął. Jak kogo szczególnie polubił, to płaszcza rozchyłał, dzie dopiro były skarby: a to magnes jaki, termometr, a to wresz-cie kalajdoskop, w kótren Ważka zerknął i uwierzyć nie mógł, że Pan Bozia takie cuda stworzył, że te szkiełka kolorowe za jego przyczyną w takie kształty się układają! ho, ho!

Najwincej jednak było tam ze Lwowa batiarów, chojraków, muzyków i wieszczy. Ka-taryny grały, walczyły o uwagę, małpki biegały z kubeczkami, grosz do grosza zbirały, a kataryniarze ocirali czoła, wróżyli i sny tłumaczyli. Wieszczy zaś głośili różnoraki rzeczy: jedni upadek monarchii, inni zjednoczeni polskich ziem (ci największą budzili ciekawość, ale tyż nikt w te słowy ni wierzył), jeszcze inni pojednani między Słowiany (no, tym to już naprawdę nikt posłuchu ni dawał). Najwięcej było tych, co to wzywali do pokuty i koniec świata wieszczyli, co to co roku miał być w przyszłym roku i tak od lat zgoła dwudziestu. A dzieś tam za ich plecami mnisi-przebirańcy krzykali:

– Rreeeeelikwie świętych-świętych-świętych! Rreeeeelikwieeeee!

A do habitu wiązali sobie kości, kosteczki, czaszki pokurczone, włosia czy paznokci. Za specjalnym poproszeniem wyciągali pudełeczka, w których można było prawdziwe, nie-przegnięte palce uźrzeć. Wystarczyło je dotknąć za opłatą, żeby ozdrowieć na ciele i umyśle (chocia mnisi-przebirańcy gwarancji nie dawali, a i zwrotu pieniędzy nie obiecywali).

Ważka gubił się w tym gąszczu gąb roześmianych, zadowolonych, ży im tego dnia Pambóg wszystkie grzechy odpuszczał. Wystarczyło aniołkowi glinianemu wrzucić grosza do skarbonki, a on z bożą łaską główką kiwał (jak to było zrobione, tego Ważka ni wiedział, mniął jeno, ży to cud boski, w któren to się lepiej rozumem ludzkim ni zapuszczać).

Ociec przystanął tam, dzie tłumek mężczyzn wokół słupa stał, a na jego szczycie kosz z alkoholem różnym, różnistym. Cygan jeden Honza Olbrzym, sztywny jako tyn koci ogon, zbirał jeno grosze od śmiałych szmiraków do wora pstrokatego i puszczał ich na słup. Któren by się wspiął najsam szczyt, ten alkoholu ma tyle, ile w koszyku znajdzi. Żadnemu się to jeszcze ni udało, bo ten słup cały sadłem niedźwiedzim był wysmarowany. Wszystkim chłopom się łapy ślizgały, a kiedz z hukiem spadali, to się reszta jeno śmiała i taku to przygadywała:

- Trzymaj fasun, bo my śpim.
- Patrzaj go, frajera na zawiasach!
- Staru pani sobi obtłukł!

Jeno temu, co to ze słupa spadał, ni było do śmichu i tak wygrażał:

- A pumana boża na was, jak wam palny, polecita na Szpitalny!

I dorośli zaśmiwiali się do rozpuku, a dzieci się nudziły.

– Chodź no – zawołał Ważkę brat Józek i tak sobi poszli w inne mijsce. Pod nogami ludziom przefazili, zaglądając czasem babom w kiecki.

- Dawaj, dawaj, ciuryło – przynagłał bratek.

I tako to gnali i gnali, aż dognali! Na małej polance, na wypalanej trawi i kamyku ociosanym wiatrem, przycupnął taki jeden w szarawarach, koszulinie z płótna i kamizelce na jeden guzik zapiętej. Stopy miał gołe, a to porośnięte jedynie siwą szczecinką. Z gęby chłopina był młody, ledwi mleczkiem pod nosem okropiały. Czoło miał wysoki, gładki, a włosy długie, żółte i suche kiej ta słoma w krowim gównie.

- Patrzaj – szepnął bratek – i gęby nie otwirać.

Ważka znak krzyża na ustach zrobił, kiwnął głową i zerknął nieśmiało na nizinajomego i nastroszył uszu. Tamten jeno podrapał się po gębi, chuchnął na dwie strony, kiejby jakie gusta odprawiał, splunął, kapalusza sfomianego nadstawił i szelki założył od akordeonu. Po chwili dźwięki się rozległy. Ważka drgnął, kiejby mu kto palcem po plecach smyrnął.

- Kto to? – spytał.

Brat go przez łeb dzielił, ale odpowiedział:

- A bo ja wim?

Obaj nadstawili uszu, a obok coraz więcej dzieciak pojawiać się zaczęło, a wszystkim jeno ślinka ciekła, bo tyż i było co spijać z ust majstra, któren zaczęła na lirze ciuchrać, a kiedy skuńczył, taku to zagadnął:

– Słuchajta ludzie, słuchajta, co wam poziem. Ptasek ćwirka, psina sceka, a cłek sie na to narodził, zeby gadać, gadać, gadać. A te gadanie nam potrzebne, zeby boskie tajemnice sobzie przekazywać z gęby do gęby. No to ja wam taką tajemnicę zdradzę.

Na początku było sobie morze, takie co to je w obcych krajach mają, tylko takie długie i serokie. No i tam sobie w tym morzu diabeł mieskał i w stopie dłuhał. Muł przesiewał przez palcy i lepsić coś chcał, ale mu to wszystko woda podmywała, a on jeno złościł bulgotał. Tymcasem, hen wysoko siedział sobie Pambóg na chmurach i przeglądał się w wodzie, ale mu te fale obraz jego i podobieństwo rozmywały. Zesedł zianc Pambóg, łódź najsampsierw spuściwszy. I tako to sobie bliżej tej wody siadł i znów się przeglądał oblicu swojemu. Fale były jednak takie, że nie ziedział Pambóg, jek wygląda. Wzion se tedy takiego kija i pogmerał w wodzie, az diabeł mu wypłynął. „Kto tam?” – krzyknął wystrasony, ale ujrzął, że to Pambóg puka. „Diabie złoty, poziedz mi, gdzie tu ja łqd znajdę?” – pyta Pambóg, a diabeł na to: „A niedaleko”. Na to mu Pambóg: „Dajze mnie trochę do ręki, cobym se usypał”. A diabeł nura dał i w łapę nabrał mułu, a poziedział przy tym: „W imię swoje, bzierę ciebie psiachu”. I popłynął w górę, ale nim go Panubози dał, juz mu nic nie zostało. Tako to zanurkował znowu i gada: „W imię swoje, bzierę ciebie psiachu”. Popłynął do łodzi, co to Pambóg w niej się susył, ale nim dopłynął, cały psiach mu sponiędzy palcy pouciekał. I trzeci raz dyla dał diabeł, tym razem poziedział juz: „W imię Boga, bzierę ciebie psiachu”. I rusył w górę, a muł mu sponiędzy palcy uciekał, jeno drobinka pod paznokciem została. Pambóg wzion ją i rzucił, a gdzie padła, tam się od razu taki łqdek mały porobił. Zeskoczył na niego Pambóg, a ze tak w łodzi siedział bez kapelusa to mu słońce dogrzało i posnęł. Diabeł tez się położył zamierzał na łqdzie, ale miejsca dla niego nie było. Umyślił sobie zianc, że Pana Bożię do wody zrzuci i utopi. Śturchnął go w jedną stronę, poturlał, poturlał, ale on do morza nie wpadał, tylko gdzie jego ciało się znalazło, tam tez i łqd się pojąził. Diabeł więc go w drugą stronę przeturlał i w trzecią, i tak na ctery strony świata Diabeł świat Bogiem przeżegnał, a łqd taki się porobił, że jeden, wielki placek wodę przykrył. Zezłościł się strasznie, że wzion swój palec i tak zrobił, o, takie dziury w tem placku, zeby sie woda przez nie lała. Wtedy Pambóg się przebudził i wzion ziemię w posiadanie, a potem ludzi na niej stworzył, zeby się mógł w nich przeglądać. Diabła tymczasem wrzucił do wody. Tam to przemieskuje do dzisiaj i gania wściekły, a casem wciąga ludzi pod wodę albo im zalewa zboze. Amen.

Zakończył tak swoje gadanie i znowu zadymał na miechach. Ważka otarł ślinę zadowolony. Takich cudów jeszcze ni słyszał. Że to Pambóg tak świat stworzył z diabłem pospołu, że go tyn diabeł tak pomacał i wodę przykrył. Od tej pory kumpieli unikał jak ognia. Ta jego Mać ganiać go musiała z garncem i szorować siłą, a on płakał i zawodził, że mu diabła na łeb wylewa. I biegał tak z mokrą głową, w piasku się tarzał, temczasem bratek jego Józek w kałużach się przeglądał. Gałąź sobie ostrugał, sznurkiem zacepił i tako to wędkował, wędkował, a diabła na glisty łapał. Raz mu się nawet udało ta sztuka. Zły pan połasił się na tłustą dżdżownicę, a kiedy wylądował zadkiem na poświęconej ziemi, tak się przeląkł, ży mu sierść dęba stanęła. Józio z kolei miast dzielić biesa po łbi i kazać mu spełnić trzy życzenia, tak się zestrachał, ży dał nogę. Od tego dnia diabeł go prześladował i z wody czasem zerkał na niego a palcem kiwał.

Rok później przy Odupci udał się Ociec z Ważką i bratem jego Józiem. I kiedy stary pode słupa poszedł znowu zerkać na śmiałe poczynania alkoholików, gówniarze znowu

pospieszyły na wypaloną polankę, dzie na czarnej trawie siedział majster tułacz. Gęba mu się postarzała. Policzek rozcięta blizna, co to szła kiej ta linia Wisły. Szarawary cosik mu opadły, a kamizelka już ni na jeden, ale dwa guziki zapięta była. Stopy miał gołe, jak i wcześnij, tylko ta szczecinka, co je porastała, jakaś taka poprzypalana, spopiелona. Gładki przedtem czoło, tera jakby spochmurniało, podupało; włosy przeredziły się i pobielaty. Ważka znowu znak krzyża poczynił, a to z przejęciem, bo niszajomy czarną przepaskę miał na oku. Stracić je musiał za jakąś straszną przyczyną. Jaką? Tego wołał Ważka nie wiedzieć, a ja nie powim, bom złośliwy skurwysyn.

Majster poklepał akordeon, szelki założył i zadął w miechy. A dźwięk jakiś taki poszedł tym razem narodowy, pełen emocji, mieszaniny dumy z przestachem, odwagi z szaleństwem, piękna z prostotą. Melodyja ta wytargała Ważkę za uszy, palnęła w łeb, ży aż wylądował na tytku. Józio nawet na niego ni spożrzał, jeno z gębu rozwartą tykał każdą nutę. Wtem, bazarz przerwał grę fałszywym akordem, zerwał się na równe nogi i uniósł ręce w górę. Oko zdrowe a to skakało po zgromadzonych, a to w niebo się wznosiło, a to w ziemi wbijało. Samo nie wiedziało, gdzie ma tyn swój wzrok położyć. Wreszcie się okręciło zupełnie i do środka głowy spożrzało, białkiem jeno wypinając się w gawiedź.

– Słuchajta ludzie, słuchajta, co wam poziem. Płasek ćwirka, psina sceka, a cłek sie na to narodził, zeby gadać, gadać, gadać. A te gadanie nam potrzebne, zeby przekazywać siebie sobzie wzajem, zeby sie zakorzeniać i los wspólny dzielić. No to ja wam taką tajemnicę zdradze. Na pocątku był Bóg i Swoboda. I ludzie szczęśliwi byli, bo nie mieli panów nad sobą. A potem wyrzekli sie Boga i stworzyli bałwany, którym zaceli padać do stóp. Tedy to Najwyzsy odwrócił swój wzrok, a diabeł pomieszał ludziom w głowach i zasiał kłótnie między narodami. A tym, co to więcej lubział, dał władzę nad tymi, którzy Bogu byli milsi. I wyrosli potężni królowie, potężni jak nigdy przedtem i przerazili się, ze im naród się zbudzi i rzuci z ich tronów. Tako tedy rzekli: „Ogłupiajmy poddanych, skłóćmy je między sobą, zeby przeciw nam społem nie wystąpsili”. A poniewaz za wiarę nikt się bzić nie chciał, bo Boga juz nie było śród nich, mozni stworzyli bóstwa, które zawładnęły umysłami: Anglikom dali więc Mamona – króla psieniendzy, Niemcom Molocha – władcę snów o wielkości, Rosjanom zaś Baala – demona pychy. Zapomniały narody, ze z jednej matki Ziemi są i jednego oćca Nieba. I tak pokłóciły się o worek pieprzu i złożyły zycie swoje w obronie tytoniu. A diabeł splotził trójcę nieboską trzech demonów: psierwsemu na imię było Fryderyk, drugiemu Maria Teresa, trzeciemu zaś Katarzyna. Trzy przekleństwa rodzaju ludzkiego, trzy kraje ogłupione. Jeden jeno naród był pobożny i Bogu najmilisy, przeto wselkich trudów i nieszczęć diabeł mu nie skąpsił. Oto naród polski wierny sam sobie, oćcom swoim i Najwyzsemu, naród polski, który cysty był jek dziewica, który pozenił się z narodem litewskim, dzielnym jek młodzieniec bez skazy. A była to zapowiedź potłęcenia wszystkich ludów chrześcijańskich w imię Boga i Swobody. A mozni tego świata przelękli się strasnie, rozcięli święty związek Polski i Litwy miecem, młodzieńca porąbali na kawałki, a dziewicę zgwałcili i złożyli do grobu. I choć Ciało jej pomarło, to Dusa jej w ludzie zagościła. Dopóki żyje w nim, dopóty nadzieja,

ze pewnego dnia powróci do Ciała i powstanie dziewica i powstanie Polska dumna i warowna jak jasnogórski klasztor Królowej nasej. A stanie się to, bośmy skarbnicą Wiary, Nadziei i Miłości. O wojnę powszechną za wolność ludów, prosimy Cię, Panie!

– Prosimy Cię, Panie! – odpowiedział mu tłum, którego zebrał się podczas jego gadania.

Majster opadł na kamień ciosany, stuknął jeszcze palcem w akordeon. Coś tam zagrał, ale sił już ni miał, więc usnął na kamieniu, przedtem tylko stukając kapalusz. Nikt jednak ni syknął groszem, bo ludzi posnęli wraz z wieszczem i tak stali, i kiwali się we śni kiej te chochoły. A chrapanie popłynęło melodią między straganami i wokół kościoła. I tak wszyscy zaczęli przysypiać. Antek Satrapa, co to był już prawie na szczycie słupa właz, uciął komarka i zsunął się naj sam dół. Honza Olbrzym zagrzytał zębami, bo mu klienci w sen zapadli. Zawinął winc majdan, wziął słup na barki i powędrował do swojego taboru.

Tymczasem Józikowi rozbłyły oczy. Już widział te całe zagony, które to o Wolność Naszą i Waszą idą się bić, te harmaty grzmiące, te okopy i kazamaty. I tak sobie to oglądał, chrapania słuchał i w kieszeni grzebał, dzie mu nożyk jego styczał. Głaskał ostrze, głaskał, jaże go ręce świerzbity, żeby cosik zbroić, cosik zdziałać za tę wolność – tu wbić, tam wydłubać. Ważka zaś tak się drapał w głowę, że jaż mu tam się dziura zrobiła, którą później musiał kapaluszem nakrywać, coby mu tam nie napadało podczas dyszczu. Dziwował się, że majster wieszczu tak historię zmienił, że nagle taki słowa wzniosłe. Tańcowały mu one pod skórą, buzowały we krwi, tłukły się po głowi. Taki jednak strach go przejął, bo to kiedyś ten diabeł jeno w wodzie przemieszkiwał, a tera wszędzie, w każdym możliwym, nawet – jak miarkował – w cysarzu Francu Josephie, którego to władał nad Lipami. Co i dziwne, bo Ociec wspominał, że un dobry katolik, nie to co te psiekurewskie cysarz Niemiec i car rosyjski.

Jeszcze mocniej się udziwował rok później, kiedy przy Oduści w to samo miejsce z bratem przyszedł, by opowieści wysłuchać. Ociec, oczywista, przy słupie sterczał i gryzł się po tydkach, bo wejść nań chciał, męstwo udowodnić, ale męstwa mu własni ni starczało. Tymczasem, na wypalonej polance, na kamyku siadł majster wieszcz. Odmieniony ni do poznania. Blizna na poliku teraz bardziej kiej ten Dunaj potężna, przecięta dopływami. Kamizela już na trzech guzikach się trzymała; stopy tyse były, zaropiate; czoło pomarszczone całkiem, a włosów nie miał już wcale. Tyn stary młodzieniec, na którym czas odcisnął się pięścią, stracił drugie oko i tera już szmatka czarna przecinała mu twarz na pół. Zęby swojej pozjadał dzieś abo stracił.

– Słuchajta ludzie, słuchajta, co wam poziem... – Zaczął, choć nawet nie tknął akordeonu. Głos jego był słabowity, głęboki, złowieszczy. – Ptasek ćwirka, psina sceka, a cłek sie na to narodził, żeby gadać, potem niscyc i tworzyć. A te gadanie nam potrzebne, żeby boskie sprawy rozbierać i wiedzieć, co niscyc, a co tworzyć, rozumem, a nie wiarą. Tozsamość nową w ludziach scepić. A nowe jest lepsze, zwazcie. No to ja wam taką tajemnicę zdradzę. Na początku człowiek stworzył boga, a potem oddał mu ceść. I podzielił się świat na tych, których bóg bardziej miłował i na tych, których miłował cokolwiek mniej.

Ci pierwsi mieli wszystko, ci drudzy mieli jeno nic. Dwaj bracia do tych drugich należeli. Ziemię orali siłą własnych mięśni, bo zżiercya wszystkie panozie im zabrali. Rzucili w końcu robotę i rusyli w świat prawdy szukać. Dotarli do wioski, w której ślachcic rzędzili. Zapukali do jego bram, a on spytał: „Cego?” Bracia mu rzekli, że prawdy szukają. On im na to: „Pracujcie dla mnie przez rok, a ja wam prawdę poziem”. I tak tyrali jeden z drugim, na dwie zmiany. Tak to minął im rocek cały, idą do pana i pytają: „Ślachtetny panie, co to jest prawda?”. On im na to: „Prawda jest taka, łachudry, że dla mnie macie robić aż do śmierci wasej zafajdanej”. Oburzyli się bracia i uciekli, a trafili do cerkwi ze złotymi kopułami. Pytają popa: „Co to jest prawda?”. A on im na to: „Pracujcie dla mnie przez rok, a prawdę wam poziem”. I tak tyrali jeden z drugim, na dwie zmiany. Takto minął im rocek cały, skórę sobie zdarli do krwi. Idą do popa i pytają: „Wasa ekscelencjo, co to jest prawda?”. On im na to: „Prawda jest taka, łachmaniarze, że bogu trza się kłaniać i popa po rękach całować”. Oburzyli się bracia i uciekli, a trafili do kupca zy-dowskiego. Pytają go: „Co to jest prawda?”. A on im na to: „Pracujcie dla mnie przez rok, a prawdę wam poziem”. I tak tyrali jeden z drugim, na dwie zmiany. Tak to minął im rocek cały, palce im poodpadały, łzami poliki zalali. Idą do zyda i pytają: „Mose, co to jest prawda?”. On im na to: „Prawda jest taka, skurwysyny, że zedrę z was wszystko, byle wyjść naswoje”. Uciekli bracia, trafili wreszcie do fabryki i bezzielkich nadziei pytają fabrykanta: „Co to jest prawda?”. On spojrzzał na nich zdziwiony i zatrudnił na rok. Tyrali tak jeden z drugim przy taśmie. Tam to przyrzeli się robotnikom, którzy tak jak oni prawdy sukali i zrozumieli bracia, że wszyscy mieli ją pod nosem, a konkretniej, trochę niżej, bo w rękach. I podburzyli robotników przeciw fabrykantowi. Własnymi rękami prawdy dotknęli. A tymi braćmi Lenin i Trocki. I wybrali oni dwunastu ucnioów i posłali do ciemnogrodów, by nieśli zieżć radosną. Koniec ucisku! Koniec narodów! Koniec ślachty! Koniec boga!

Usłyszeli to Lipioki, jak nie ponieśli ślepego na rękach, jak nie wyrzucili go przy drodze, jak się nie przeżegnali z oburzenia! „Huzia, Panaboga bądź! Kończyc! Patrzaj go!”. A Honza Olbrzym westchnął ciężko jeno i wziął słup na swoji ramiona i poniósł do taboru, bo znowu mu klientów zbrakło. A Józio zachodził w głowę, że jak to tak koniec nagle wszystkiego? I co to ta prawda, co w rękach leży? I kto to ten Lenin? Kto to ten Trocki? A przede wszystkim, kto to, do cholery, ten robotnik? Ważce temczasem wszystko się już posypało. Dopiro co chopak nad narodu powstaniem zmartwych się zachwycał, a tu już go znowu do grobu miał kłaść. Taki mętlík mu w głowie nastał, że już nie wiedział, gdi prawda. Ni przyszło mu na myśl, że jeden człowiek wiele prawd w sobi nosić może i zmieniać co i rusz, słabnąc jednocześni na ciele i umyśle. Tak to sobie rozumował, że jeden człowiek jednego się trzyma, toteż próbował cokolwiek z tego wymiarkować. No bo jeśli ten Bóg ziemię stworzył z diabelskiej materii, a potem tego Boga człowiek stworzył, to coś tu nie gra.

Wszystko to sobi Ważka przypomniał, kiedy na stepach kresowych głodował odarty z polskiego munduru. Jego oddział rozbiła Czerwona Orda bolszewików, a un przeżył jeno, bo tak piknie udawał trupa, że jaż sam Piter świnty mu bramy niebios otworzył, a imię jego zapisał w Księdze Nieboszczków. No to tyż sobi siedział teraz kiej ten truposz

na wypalanej polanie zasianej końskimi a ludzkimi ścierwami wyzwolonemi od wszystkiego. Grzebał ich całymi dniami kiej ta Antygona, jeno na współczesną skalę, a potem siadał na tyłku i wyciągał skrzypki. Próbował na nim dylać patykiem, ale żadna muza z tego nie szła. Wzdychał winc ciężko, patrzył na te stepy ogołoczone, zdeptane, w które wsiąkło tyła krwi żołnierskiej. Nie myślał o Lwowi, na którą pędził Budionny, ani o Warszawie, na którą gnał Gaj-Chan z młodym bogiem wojny Tuchaczewskim. Nie wspominał nawet Lip spokojnych, Lip wesołych. Tym palcem jeno gmerał w ziemi, a w niebo patrzył. Nie wierzał w nic, jeno przypominał sobi ten kalajdoskop, co to mu Srulek Sroka w oko wciskał i te szkiełka potłuczone, które się tak same układały w te wzory nic nieznaczące.

W tym miejscu dziad przerwał swe bajanie i w Małej Ziemiańskiej zapadła cisza. Wieniawa wstał i bez wrodzonego dowcipu, całkiem poważnie huknął:

– Czyżbyś pan imputował, że Boga nie ma?

Dziad spokojnie dokończył szarlotkę, wstał i powiedział:

– Imputuje jeno, ży człowieka już ni ma. Uszanowanie.

Na te słowa uklonił się i powolnym krokiem odszedł w kierunku drzwi. Zgromadzeni przy stoliku milczeli przez chwilę, aż wreszcie monsturalny Franc Fisher podrapał się fajką po brzuchu, zakręcił wąsa i rzekł:

– Pan szacowny pozwoli, że wytłumaczę: to Bóg imputuje, że pan jest.

Wieniawa roześmiał się, a za nim poeci. Aktorzy zaś na końcu, którzy dowcipu nie rozumieli, śmiali się najgłośniej. I tylko Mira poprawiła diademik w zamysleniu.

– Proszę poczekać – krzyknęła i zatrzymała dziada w drzwiach. Za oknem lato.
– Mógłby pan łaskawie powiedzieć, co się stało z tym majstrem? Przeżył wojnę?

– Przetrwał, droga pani, ale nie przeżył – odpowiedział dziad, zapiął czwarty guziczek kamizelki, a potem zmył się wraz z warszawskim deszczem do studzienki kanalizacyjnej.

Mira zamknęła za nim drzwi i zapomniała o wszystkim.

2011

W opowiadaniu wykorzystano autentyczne mity ludowe, baśnie białoruskie oraz idee zawarte w *Księgach narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego* Adama Mickiewicza.



Eva Kovačevičová-Fudala, *Typografiki do poezji Vítězslava Nezvala „Abeceda“*